

Wojna o jakość

Wojna formatów cyfrowych w latach 80. była gwałtowna, choć szybko się skończyła. Do dzisiaj pozostała po niej pamiętka, równie dokuczliwa, jak lej po bombie na środku autostrady: DAT.

Standard DAT przyjął się jako najlepsze narzędzie do rejestrowania muzyki i pokochali go dźwiękowcy. Od CD, poza tym, co widać i co się rusza, różnił się częstotliwością próbkowania: 48 kHz, podczas gdy standard CD zakłada 44,1 kHz.

W tej rozdzielczości rejestrowano muzykę. Jeżeli miała być wydana na CD (a nie było innej możliwości, bo „prywatnie” DAT-a posiadało znacznie mniej ludzi niż obecnie gramofon), trzeba było dane przeliczyć. Nikt się tym jednak specjalnie nie przejmował.

Nie pamiętam, kiedy umarł DAT. Nie jestem nawet pewny, czy ktokolwiek rejestruje takie fakty, bo standard ten nigdy nie zdobył szerszej popularności, poza zastosowaniami profesjonalnymi. W każdym razie, kiedy do studia wkroczył komputer, nośnikiem danych stał się dysk i obecnie nic nie wskazuje, by cokolwiek miało się w tej kwestii zmienić. Praca na nim jest na tyle wygodna, a kwestie sprzętowe oczywiste, że nie ma potrzeby poszukiwania innych rozwiązań.

Niestety, śmierci DAT-a nie zauważyli dźwiękowcy. I to do dzisiaj. Zastanawiam się, jaki beton trzeba nosić w głowie, żeby ustawiać przetwornik w studiu na 48 kHz, kiedy efektem nagrania ma być płyta CD.

Wojna standardów cyfrowych pozostawiła po sobie mnogość częstotliwości próbkowania, nikomu do niczego niepotrzebnych. W obecnych czasach posiadacze plikowych źródeł mogą sobie ustawić, ile chcą: 44,1; 48; 88,2; 96 czy 192 kHz i zapytać: w czym problem. Ano w matematyce.

Od przyjęcia DAT-a jako standardu dominującego zarejestrowano trzy dekady w historii muzyki, głównie w 48 kHz. Potem to przeliczono, żeby wydać na CD. Kolejne, już współczesne, „gęste” superwydania przeliczono z kolei na 96 czy 192 kHz i sprzedano ludziom jako „remastering” lub „Audiophile Edition”. Niestety, w przytłaczającej większości nie z taśmy

matki, tylko z CD. A jak powstają dzisiaj te nagrania? Będziecie rozczarowani: nagrywa się na nieśmiertelnej pozycji 48 kHz, a później przelicza na 44,1 dla CD. W tej sytuacji uprzywilejowani są kupujący pliki, o ile są to wave’y o rozdzielczości 48, 96, lub 192 kHz. W praktyce jest to jednak albo MP3, albo słynne „flaki”, które „się nie różnią”. Nie wiem, skąd ludzie biorą takie rewelacje, ale aby tak twierdzić, trzeba mieć dwie rzeczy zamknięte na kłódkę: uszy i głowę. Najbardziej oszukani są jednak kupujący wydania winylowe. Aby były analogowe, to, pomyślcie chwilę... trzeba by je zarejestrować osobno. Jeżeli to ta sama sesja (czyli kropka w kropkę: ta sama muzyka), wypadaloby ustawić dubel: set mikrofonów (niekoniecznie, ale...), stół lub preamp i magnetofon. Ile to roboty, niewygodny, pomijając już fakt, że przydałyby się dwie ekipy, bo mało jest ludzi ogarniających obie techniki. Nie wspomnę nawet o montażu, który robi się albo myszką na ekranie, albo nożyczkami. Spróbujcie powtórzyć ten efekt w 100 %. Dlatego nagrania „analogowe” powstają na zasadzie: przepuszczamy cyfrowy zapis na analogową taśmę i już mamy „szumik”. A „brzmienie analogu” i tak dla 99,99 % ludzi załatwia krzywa RIAA.

Wracając do cyfry, każde przeliczanie materiału szkodzi. Nie ma w tym magii, jest matematyka. Podzielcie sobie 48 przez 44,1 albo „zróbcie” z 44,1 – 192. Wszystko, co się pojawi po przecinku, także stanowi informację. O barwie, przestrzeni. To są niuanse, ale też wpływają na całokształt. Kiedy nagrywałem płyty i nie miałem świadomości tego faktu, też nie przywiązywałem do niego wagi. A dźwiękowiec, oczywiście, zawsze ustawiał 48 kHz. I potem zachodziłem w głowę, dlaczego w studiu brzmiało świetnie, a wypalona próbnie płyta CD jest płaska jak deska. Pierwsze nagranie w 44,1 kHz odpowiedziało na wszystkie pytania. Musiałem jednak stoczyć walkę z realizatorem:

- Proszę przestawić przetwornik na 44,1.
- Dlaczego? Tak lepiej słyszeć.
- Lepiej, ale tylko tu i teraz. A ma być potem.
- To nie ma znaczenia. Tak jest lepiej.
- Ale ja płacę za nagranie i proszę przestawić.
- Jak pan chce, ale na pana odpowiedzialność.

Trochę inny tok myślenia prezentują wytwórci płytowe. Rewolucja plikowa niosła ze sobą szansę na odkrycie po raz drugi znanych, wspaniałych nagrań. Wystarczyło odkurzyć archiwa, wydobyć taśmy-matki lub pliki-matki (bo skopiowanie z taśmy na dysk to żaden problem, a jeśli jakaś strata, to pomijalna) i po prostu dać ludziom oryginał w rozdzielczości 48 kHz. Nic przy nim nie dłużyć. Dla wielu byłoby to kompletowanie fonoteki od nowa. Rozmawiałem z jedną z osób z koncertu, dysponującego tysiącami matek, za którymi tęsknicie jak za własną. Nic takiego się nie stanie. Bo to zachód, ambaras i logistycznie trudne do przeprowadzenia, a takim produktem zainteresuje się ułamek procenta odbiorców. Wierzę w te zapewnienia, bo wystarczy się rozejrzeć, by stwierdzić, na czym się obecnie słucha muzyki. Przytłaczająca większość „źródeł dźwięku” to smartfony, natomiast dla większości z pozostającego ułamka gwarancją jakości jest winyl. Czy charczy, skrzypi czy gra jak Paganini, jest w nim ta sama magia, powiedzmy sobie szczerze, bezkrytycznego snobizmu. Oczywiście, nie można generalizować, bo część grupy miłośników winylu przywiązuje wagę do jakości i na dodatek coś słyszy; istnieją także wytwórci, nagrywające i tłoczące LP jak należy. Nie zmienia to jednak faktu, że od lat 80. przytłaczająca większość muzyki jest cyfrowa. I gdyby nie całe zamieszanie, mielibyśmy jeden standard. A wyższe rozdzielczości? Żaden problem, o ile są wielokrotnością podstawowej i wszystko dzieli się przez 2, 4, a może i przez 8.

Problem w tym, że choć niby każdy słucha plików, nadal dominującym źródłem muzyki jest CD, a dźwiękowcom nadal taśma DAT się w głowach kręci. Obaj przeciwnicy trzymają się dobrze i nie przypuszczam, że się to zmieni. Bo kiedy CD odejdzie do lamusa, wajchy w studiach pozostaną.

Maciej Strycki